Nr. 1. Lwów, 1. stycznia 1903. Rok XXVI.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

W dwudziestopięcioletnią rocznicę.



Dwadzieścia pięć lat mija z dniem dzisiejszym od chwili, kiedy po raz pierwszy *„Łowiec“* jako widomy znak istnienia Towarzystwa łowieckiego dostał się do rąk licznego, jak na owe stosunki, grona ludzi, których dobro i rozwój łowiectwa krajowego żywo obchodziło i którzy zgromadzili się na pierwsze hasło, dane przez niezapomnianego Włodzimierza Dzieduszyckiego, koło podniesionego przez niego sztandaru łowieckiego.

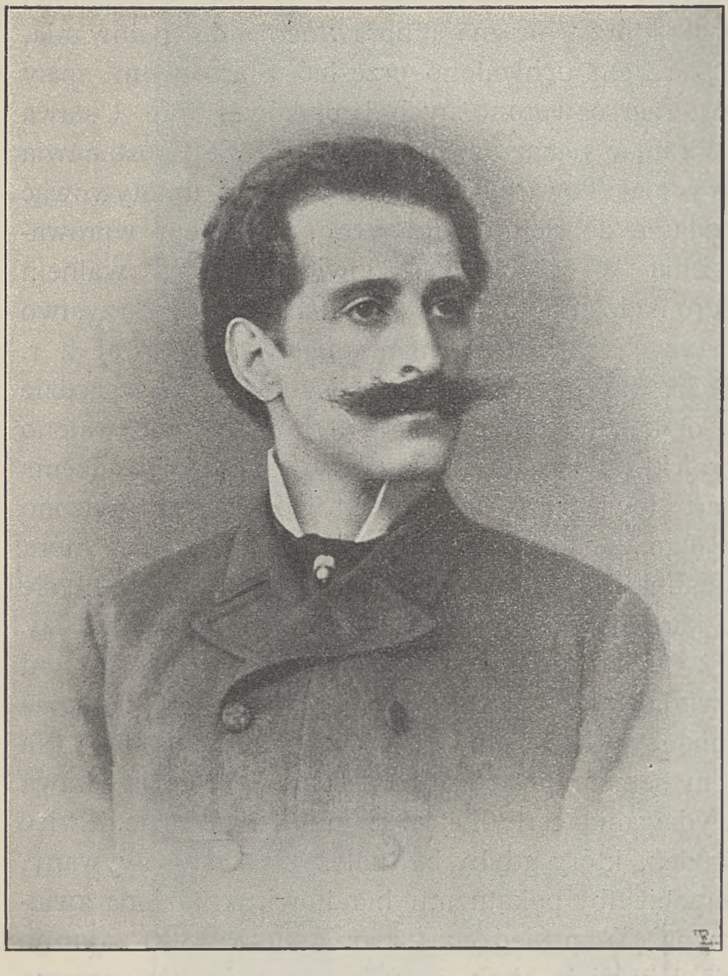
Kiedy hasło to zostało rzucone, kraj, niedawno jeszcze snem letargicznym uśpiony, budził się do życia, do ruchu, do pracy, pełen otuchy, że ona da mu poczucie własnej godności, siłę i znaczenie — i że rozmnoży bogate skarby, jakie Opatrzność w nim nagromadziła. Zdrowy ruch pojawił się na wszystkich polach działalności — a wszędzie objawiał się chęcią zespolenia sił rozpierzchłych i jak najskrzętniejszego ich zużytkowania. Powstały wtedy trzy Towarzystwa mające na celu krzewienie wiedzy przyrodniczej, a mianowicie Towarzystwo Tatrzańskie, Towarzystwo imienia Kopernika, Towarzystwo ochrony

zwierząt — i zachęcone tym przykładem grono ludzi poważnych powołało do życia Towarzystwo łowieckie, nadając mu od samego początku charakter związku, dążącego drogą poważnej pracy do podniesienia tej gałęzi gospodarstwa krajowego, do rozbudzenia zamiłowania należytej ochrony zwierzyny i wyrobienia wśród ogółu myśliwych w kraju tego przekonania, że tylko ten dobrym myśliwym być może, kto także jest dobrym hodowcą zwierzyny.

Stosunki łowieckie ówczesne smutny przedstawiały widok. Jak świadczą doskonałe artykuły pierwszych roczników *„Łowca“*, jak zresztą sami to pamiętamy, przestrzenie łowieckie były istną „res nullius“, bez opieki, bez ochrony, bez prawa. Istnieli wprawdzie właściciele obszarów łownych, lecz w przeważnej części niczem nie krępowani, uważali łowiectwo za czczą rozrywkę lub za własną, bezwzględną korzyść i tępili zwierzynę bezmyślnie albo sami, albo też dozwalali tępić ją uprawnionym lub nieuprawnionym. Polowanie „na kuchnię“ w najgorszem tego słowa znaczeniu, było w pełnym rozkwicie. W tych warunkach rozwijało się swobodnie kłusownictwo różnego rodzaju, a zwierzostan, nie tak dawno jeszcze bogaty, upadał coraz bardziej. Istniały wprawdzie w karby nauki ujęte prawidła racyonalnego łowiectwa i ochrony zwierzyny, nawet w literaturze naszej, nie mówiąc już o bogatej pod tym względem literaturze obcej, ale nie było wówczas myśliwych, którzyby łowiectwo uważać chcieli za umiejętność. Istniała ustawa łowiecka, ale głęboko



JE. Włodzimierz hrabia Dzieduszycki,
założyciel Towarzystwa i pierwszy jego prezes (do r. 1882) — pierwszy Członek honorowy Towarzystwa.

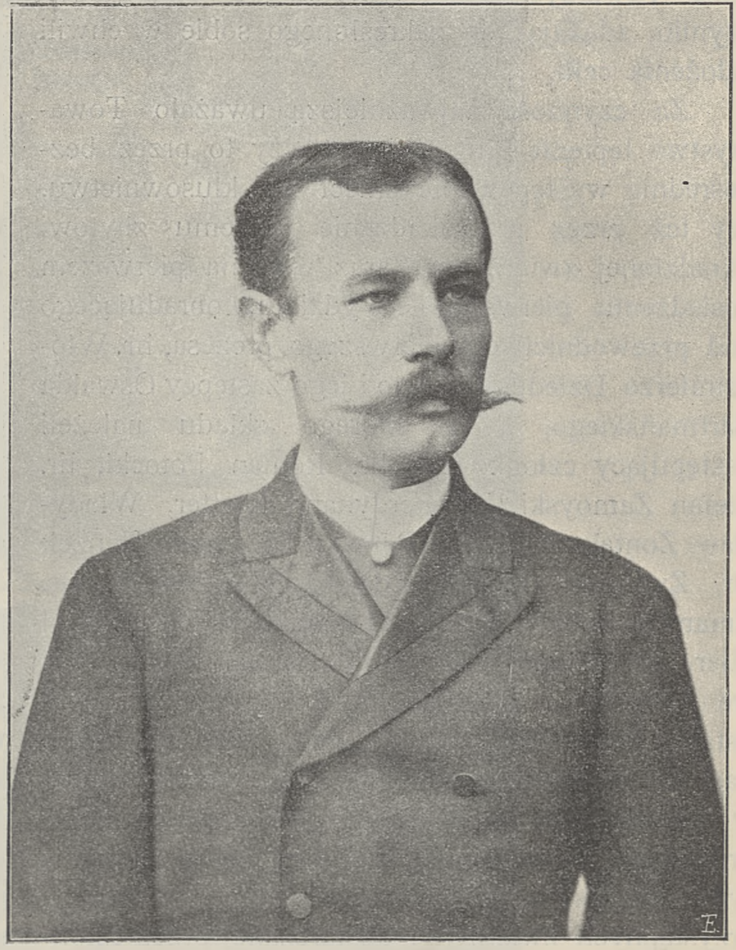


JE. Roman hrabia Potocki,
drugi prezes Towarzystwa (od r. 1882 do r. 1902), Członek honorowy Towarzystwa.

pogrzebana w zbiorze praw państwowych i przywalona kamieniem lekceważenia i zapomnienia, nie była zupełnie wykonywaną. Jednem słowem, z dawnej tradycyi, przeszło łowiectwo tylko jako praktyczne wykonywanie prawa zabijania i łowienia zwierzyny bez poczuwania się do obowiązku pomyślenia o tem, żeby racyonalną opieką nad zwierzyną zapełnić można było te luki, jakie wśród niej zdziałały strzelba uprawnionego do polowania, sidła i siekańce kłusownika, klimat -- i wypadki. To też pamiętamy prawie wszyscy, że oprócz zagospodarowanych prawdziwie po myśliwsku rewirów, cały prawie kraj pod względem zwierzostanu był pustką. Nie tak to dawne jeszcze czasy, kiedy stadko kuropatw należało do rzadkich zjawisk, kiedy w kilkanaście strzelb w kilkunastu miotach zabijano kilka zajęcy, kiedy sarny były rzadkością, o jeleniu w Galicyi prawie słuch zaginął, a tylko jeszcze przelotna zwierzyna, jak przepiórki i drobne błotne i wodne ptactwo jako tako dopisywało.

W tych czasach upadku pojawiło się Towarzystwo i jego organ *„Łowiec“*. Nie w celu urządzania łowów, nie dla przysporzenia rozrywki i przyjemności powstało ono, ale zakreśliło sobie obszerny i pożyteczny obręb działania, bo zamierzyło stanąć na straży łowieckiej w najobszerniejszem jej znaczeniu, utworzyć zastępy myślących i racyonalnie wykonujących swój zawód myśliwych, szerzyć w tym celu naukową wiedzę, strzec ustaw i przypominać je, rugować złe zwyczaje i zabobony, tępić niemoralne wdzieranie się w prawa cudzej własności, nakreślić stałe normy dla łowiectwa, ochraniać zwierzynę pożyteczną, wskazywać, jak z niej można utworzyć źródło realnego pożytku, słowem czuwać w każdej chwili by i pod względem łowieckim stanąć na równi z ościennymi narodami, które były w tem szczęśliwem położeniu, że im stuletni blisko zastój prawidłowego rozwoju nie hamował.

Nikt nie może zarzucić, żeby tak Towarzystwo, jak i jego organ *„Łowiec“*, zadania swojego nie spełniły. Ćwierćwiekowa działalność we wskazanym wyżej kierunku doprowadziła do tego, że stan zwierzyny w kraju, dzięki wyrobieniu się odpowiednich pojęć o myśliwstwie i ochronie zwierzyny, podniósł się bardzo znacznie, że dzisiaj już w wielu okolicach nie pozostawia nic do życzenia, a wszędzie prawie widoczny jest stały i znaczny postęp. Sposób wykonywania

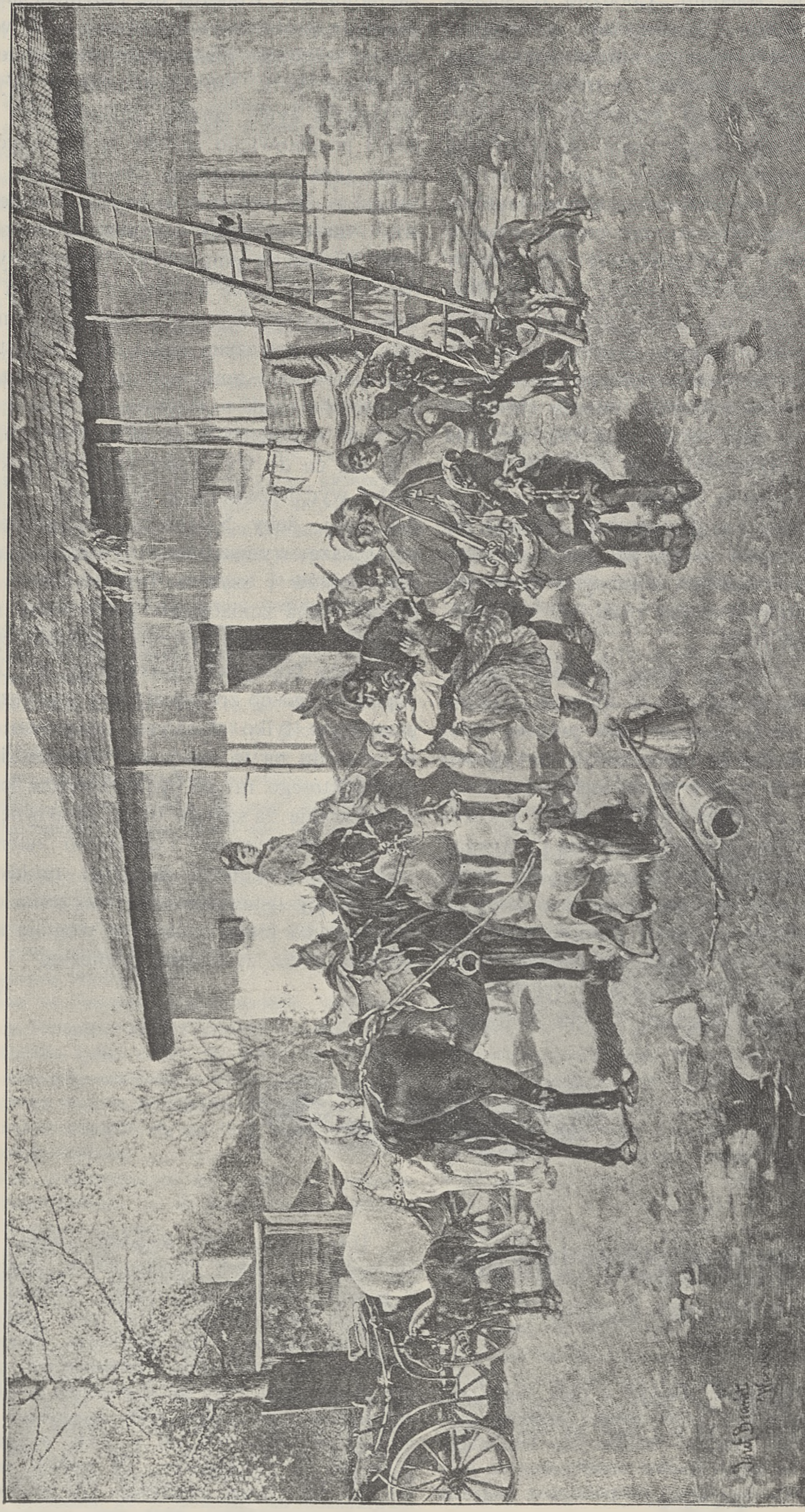


Ordynat Tadeusz Czarkowski-Golejewski,
wiceprezes Towarzystwa w czasie jego reorganizacyi, Członek honorowy Towarzystwa.

w praktyce myślistwa uległ także zmianie na lepsze i choć, dzięki Bogu, pozostało dużo z dawnej tradycyi i dawnych zwyczajów, szczególniej co do pojmowania samego polowania, nie jako pracy, ale jako prawdziwej i zdrowej w każdym kierunku przyjemności, co do serdecznej gościnności, jaką nawzajem sobie współuczestnicy polowań odpłacają, nie uważając się za maszyny, mające taką a taką ilość zwierzyny na rozkład dostawić, to przecież znać, że wszystko robi się z tą myślą o przyszłości rewiru. To też skutki, jak wspomnieliśmy wyżej, widoczne — mamy rewiry w kraju, tak w zachodniej jego części, które pod względem ilości nie ustępują rewirom w zachodnich krajach, stan kuropatw podniósł się znacznie, sarn rozmnożył się po całym kraju do tego stopnia, że są zdania, jakoby ich było obecnie więcej, niż gospodarstwo lasowe znieść może, polowania zaś na grubą zwierzynę mają ustaloną sławę, szeroko poza granicą kraju się rozchodzącą.

Nawoływania Towarzystwa o racyonalną opiekę nad zwierzyną, przyznać trzeba, na urodzajną padały glebę i temu w najznaczniejszej części rezultaty obecne zawdzięczyć należy. Nie będzie jednak rzeczą zbyteczną przejść po kolei te kroki, jakie Towarzystwo w tym długim szeregu lat czyniło, zdążając do zakreślonego sobie w chwili założenia celu.

Za czynność najważniejszą uważało Towarzystwo tępienie kłusownictwa, czy to przez bezpośrednie występowanie przeciwko kłusownictwu, czy też przez przeszkadzanie łatwemu zbytowi ukradzionej zwierzyny. Zaraz więc na pierwszem posiedzeniu pierwszego Wydziału, obradującego pod przewodnictwem pierwszego prezesa, hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego i jego zastępcy Oswalda Bartmańskiego, a do którego składu należeli następujący członkowie: hr. Roman Potocki, hr. Stefan Zamoyski, Dr. Ferdynand Kratter, Władysław Zontak, hr. Artur Potocki, Dr. Adam Henzel, Dr. Zygmunt Rieger, Edward Weissmann, Dr. Emanuel Roiński, hr. Józef Drohojewski i hr. Karol Mier, uchwalono nagrody dla straży rogatkowej we Lwowie i dla donosicieli o przekroczeniu ustawy łowieckiej. Wyznaczono wówczas także nagrodę za tępienie wilków, które w tych czasach w znaczniejszej ilości, w licznych rewirach kraju grasowały. Uchwalono także urządzenie ławy na rynku lwowskim, w celu sprzedawania po cenach przystępnych zwierzyny, dostarczanej przez członków Towarzystwa. Na posiedzeniu wydziału z d. 7. października 1878, uchwalono wnieść prośbę do Namiestnictwa, aby zaleciło ck. Starostwom oględne wydawanie paszportów na broń, szczególniej tym, którzy nie mają uprawnienia do polowania, a zarazem uchwalono przesłać Starostwom spisy zwierząt czworonożnych i ptaków, które Ustawa ochraniać nakazuje. W styczniu r. 1880 postanawia Wydział Towarzystwa zredagować i umotywować podanie do Sejmu krajowego, względem wprowadzenia w użycie kart łowieckich. Na walnem zgromadzeniu z r. 1880 uchwala Towarzystwo petycyę w sprawie zmiany ustawy krajowej z r. 1875 w tym kierunku, że lisy mogą być wszędzie i o każdej porze tępione. Również uchwalono projekt noweli do ustawy, w sprawie wprowadzenia kart łowieckich, przyczem jednak wychodzono z tego zapatrywania, że władza polityczna, która stosunki lokalne zna, ma ocenić, czy starającemu się o kartę łowiecką, karty takiej udzielić należy, czy też przez odmówienie mu jej usunąć go od wykonywania polowania, jeżeli to wykonywanie miałoby być dla łowiectwa szkodliwem. Na tem samem posiedzeniu poruszoną została sprawa wydawania certyfikatów na ubitą zwierzynę, a więc środek, który gdyby był należycie zastosowywany, zapobiegłby pokątnemu handlowi ukradzioną zwierzyną. Na posiedzeniu z d. 4 lipca 1880 zajmuje się Wydział, obok innych spraw, także sprawą tworzenia po miastach i miasteczkach składów zwierzyny, głównie w celu poskramiania kłusownictwa — i sprawą wynagradzania szkód, przez zwierzynę zdziałanych. W r. 1881 wnosi Wydział prośbę do Namiestnictwa w sprawie szybkiego i surowego wymiaru kary za przestępstwa kłusownicze, a to wskutek odniesienia się Komitetu Towarzystwa gospodarskiego w tej sprawie. W tym roku następuje połączenie się Towarzystwa rybackiego z Towarzystwem łowieckiem i aż do czasu, kiedy to pierwsze, zasłużone Towarzystwo, swój organ wydawać zaczęło, służy „Łowiec“ za organ tegoż Towarzystwa, wskutek czego znajdują w nim umieszczenie cenne prace prof. M. Nowickiego. W tym także roku pod datą 5 września L. 14572 wydaje ck. Namiestnictwo bardzo stanowczy okólnik do ck. Starostw w sprawie kłusownictwa i jego poskramiania. W porozumieniu z Towarzystwem tworzy krajowa szkoła lasowa w r. 1882 Muzeum łowieckie w tej szkole. Na walnem posiedzeniu, odbytem d. 14 października 1882 obradowano żywo nad wnioskiem prof. Nowickiego, w sprawie projektu rozporządzenia, uzupełniającego ustawę rybacką i dostarczenia mającej się zebrać ankiecie, materyału i podstawy dla obrad. W r. 1883 zajęto się sprawą instytucyi delegatów Towarzystwa po powiatach — zaznaczono stanowisko wobec zezwoleń na wybijanie kóz



J. Brandt — Wyjazd na polowanie.

i wyznaczono delegata na kongres myśliwski, zapowiedziany w Wiedniu. Chodziło o sprawę utworzenia związku Towarzystw łowieckich, o wspólne działanie i międzynarodowe zarządzenia w celu podniesienia łowiectwa w monarchii, postawienie wspólnych zasad prawnych dla przyszłego ustawodawstwa łowieckiego, uregulowanie myśliwsko-policyjnych przepisów i sprawy straży łowieckiej, oraz ujednostajnienie ustawodawstwa łowieckiego, szczególnie co do prawa ochrony zwierzyny, sprawa wynagrodzenia za szkody przez zwierzynę zrządzone, sprawa kart myśliwskich i legitymacyi na broń, wreszcie sprawa utworzenia centralnego organu myśliwskiego. Pomimo tego, że wiele bardzo ważnych spraw wziął sobie ten kongres za przedmiot swoich obrad, to jednak przewodnią jego myślą była tak wyraźna centralizacya, że przeciwko temu zapędowi postanowiono się energicznie oprzeć.

Przewodniczący ks. Stahremberg wyraził się na jednej z wstępnych narad, że pisma myśliwskie Towarzystw łowieckich krajowych żywią się przeważnie artykułami innych pism, że oryginalnych prac w nich mało.

„Kolumny „Łowca", pisze ówczesna Reda„kcya, wymownie świadczą, że interesa myśliw„skie krajowe wyrażają się w nim prawie wyłą„cznie w artykułach i korespondencyach oryginal„nych, że pismo to nosi wybitną cechę narodową, „której zrzec się nie może i nie powinno." Ówczesnej Redakcyi wolno było być skromną i przyznać redagowanemu przez siebie organowi tylko cechę narodową, która rzeczywiście uderzała w oczy ze wszystkich roczników „Łowca" i której on, dzięki Bogu, do dziś dnia nie stracił, nam jednak wolno powiedzieć, że ówczesny „Łowiec" był tak doskonale redagowanem pismem, iż nie potrzebował się obawiać porównania z żadnem pismem zagranicznem. Kongres nie przyniósł jak wiadomo żadnych dodatnich rezultatów i pod wezwaniem centralizacyjnego hasła żadnych wogóle przynieść nie mógł. W r. 1884 zajmował się Wydział Towarzystwa żywo sprawą zezwoleń na wybijanie kóz i postanowiono sprawę tę poruszyć przy rewizyi ustawy łowieckiej. We wrześniu tego roku wniósł p. Romańczuk w Sejmie wniosek w sprawie ułatwień przy wydawaniu paszportów na broń wszystkim porządnym i zagrożonym gospodarzom tam, gdzie zwierzyna leśna, a osobliwie dziki i niedźwiedzie robią szkodę w ziemiopłodach lub bydle, przyczem żądał, aby Starostwa licytacye polowania gminnego przeprowadzały o ile możności na jak największą korzyść i stosownie do woli właścicieli gruntów w gminie położonych, i to tak co do wysokości czynszu, jak i co do osoby wydzierżawiającej polowanie. Wniosek żądał dalej, żeby Starostwa „przeprowadzały jak największe wyniszczenie" zwierzyny szkodliwej dla rolników i szybkie i sprawiedliwe wynagradzanie szkód zdziałanych przez leśną zwierzynę. Wniosek sejmowej komisyi administracyjnej, zredagowany przez posła Kazimierza hr. Badeniego, odparł w sposób znakomity trzy pierwsze żądania, przyznając tylko słuszność czwartemu punktowi ze względu na to, że patent Józefiński, na podstawie którego mogła być traktowana sprawa o odszkodowanie za szkody przez zwierzynę zdziałane, był niedostatecznym. Uchwalono zatem wezwać rząd, aby przedłożył Sejmowi projekt ustawy, zmieniający ustawodawstwo ówczesne o szkodach zrządzonych przez zwierzynę wogóle, a w szczególności przez zwierzynę drapieżną.

C. d. n.

Polowanie na rogacza podjazdowe i podchodne

skreślił Rudolf Janota, c. k. leśniczy.

Zachęcony artykułem „*Łowca*" z dnia 1-go października b. r. pozwalam sobie skreślić niektóre spostrzeżenia z mojego długiego zawodu jako leśniczego, a to tem więcej, że mając wielkie zamiłowanie do lasu i zamieszkałej w nim zwierzyny, podpatrzyłem niejedne ich tajniki.

Gdy w roku 1876 zostałem przyjęty do służby kameralnej w lasach niepołomickich, gdzie stan sarn z początku można było nazwać średnim, a dopiero z każdym rokiem się poprawiał, mieli pozwolenie polowania na rogacze wyżsi oficerowie, których tak na podjezdne, jak podchodne, z polecenia mej wyższej władzy prowadziłem. Przy tej sposobności nabyłem różnych doświadczeń i poczyniłem wiele spostrzeżeń. Polowanie na rogacza podjazdowe jest o wiele wygodniejsze, niż polowanie na podchodnego, ale według mego zdania nie daje dla dobrego myśliwego tyle wrażeń, co polowanie na podchodnego, gdyż przy podchodzeniu roga-

cza musi myśliwy skupić wszelkie myśli, by zwierza tak podejść, żeby myśliwego pierwej nie zoczył, bo nie wszędzie są do podchodnego umyślnie wygracowane ścieżki, to co Niemcy nazywają „Pürschstege".

Pierwszy warunek, by się podchód, lub podjazd udał, jest dokładna znajomość terenu, starych dróg, ścieżek, by zwierza po cichu podejść, a przedewszystkiem pomyślny wiatr.

Nie jest to znowu tak łatwo każdego rogacza podejść, a właśnie to natężenie umysłowe, by te przeszkody zwalczyć i zwierza niepostrzeżenie podejść, i to, że się tak wyrażę, „gustowanie", w jaki najpewniejszy sposób strzał oddać, to właśnie składa się na wysokie zadowolenie myśliwego.

Drugi warunek jest dokładna znajomość czasu, o którym rogacz na żer wychodzi, bo od tego zależy cały podjazd albo podchód, a mianowicie wskazówka, skąd go rozpocząć, bo oczywiście od tego rogacza się zaczyna, który najwcześniej występuje z lasu, by czasu na daremnem jeżdżeniu, lub chodzeniu nie tracić. Naturalnie wymaga to ścisłego kontrolowania zwierzyny, gdzie i o którym czasie ona wychodzi na żer, gdyż tak rogacz, jak i sarna pod tym względem bardzo regularnie terminów przestrzegają. Dla leśniczego, który ciągle po lesie chodzi, ale nie bez myśli, nie jest to znowu rzeczą tak trudną. Jeżeli przy podchodzeniu rogacz lub sarna usłyszała podchodzącego, lub go zwietrzyła, lepiej jest pokazać im się, bo gdy rogacz ujrzy, co go niepokoi, odskoczy, może beknie raz i drugi, ale nie będzie tak głosił, jak wtenczas, gdy nie wie, co go właściwie niepokoi. Wtenczas przez swoje dłuższe głoszenie inną zwierzynę robi ostrożniejszą, czego unikać trzeba. Ten sam rogacz, za pół godziny albo i wcześniej, napowrót na żer wystąpi, a zatem można go przy drugim podchodzie w tem samem miejscu, jeżeli nie był strzelany, spotkać.

Z pp. wojskowych, o których wyżej wspomniałem, trzech polowało na podchodne, a resztę podjazdem.

Prowadząc tych panów na podjazd, jak wyżej naznaczyłem, podjeżdżałem naprzód do tego rogacza, który najwcześniej występował.

Ponieważ w lasach niepołomickich zwierzyna była dosyć do furmanek przyzwyczajona, a zatem nie płochliwa, chodziło tylko o to, by konie ze strzałem oswoić, tak żeby przy strzelaniu z wózka spokojnie stały. W ten sposób na jednym podjeździe strzelano do 6—8 rogaczy, a nawet zdarzyło się do 12 i 17, chociaż nie wszystkie zostały trafione.

Tu muszę nadmienić, że po strzale ci panowie mieli różne zapatrywania co do podchodzenia postrzelonego, lub leżącego rogacza.

Jeden życzył sobie, by zaraz po strzale jak najspieszniej udać się do strzelonej zwierzyny, drugi zaś całkiem powoli nabił express i ostrożnie z przygotowaną bronią zbliżał się do rogacza, by w razie, gdyby się rogacz jeszcze podniósł, mógł być dobity. Ten ostatni sposób uważam jako racyonalny.

Zdarzyło się raz z tym właśnie myśliwym, który sobie życzył, by zaraz do strzelonego zwierza dobiedz, że pomimo tego, iż rogacz był w komorę strzelony i z dymem runął, przy mojem zbliżeniu się, raptownie się zerwał i musiałem go z pomocą psa odszukiwać. Był to rogacz z parostkami jedynastaka, na 28 cm. wysokimi i ślicznie operlonymi, a zatem wysokiej wartości — chociaż sam rogacz był średni. Gdy oddawałem szczęśliwemu myśliwemu te parostki, pytał mnie: dlaczego przed strzałem nie zwróciłem mu uwagi, że to tak dobry rogacz — odrzekłem, że gdy zwrócę uwagę na dobrego rogacza, to go Excelencya czasem chybi, z czego się serdecznie rozśmiał, mówiąc: „Pan leśniczy mnie lepiej zna, niż ja sam siebie".

Drugim razem podjechałem rogacza na łące, zwanej „Biedą" wśród lasu. Strzelano cztery razy do rogacza — za pierwszym i drugim strzałem zaznaczył, za trzecim nic, za czwartym runął i pokazało się, że pierwszą kulę dostał nisko w komorę i zrobił skok przodem w górę, drugą dostał pod czomber i zgarbił się, trzecia kula była chybiona, czwartą dostał w szyję.

Powodem, że się rogacz z miejsca nie ruszył, było jak sądzę to, że albo już nie miał siły po pierwszych strzałach, albo też echo zbałamuciło go tak, że nie wiedział, w którą stronę uchodzić.

Innym razem przyjechał jeden z tych panów, podczas rui t. j. z końcem lipca i wyraził życzenie, żeby chciał widzieć, jak się ruja odbywa i na wabika rogacza ubić. Znając kilka miejsc, gdzie rogacz z kozą na ruję przychodzą (wydeptane kółko około krzaka, lub drzewa, gdzie się amory sarnie i zapłodnienie odbywa), podprowadziłem go do jednego takiego miejsca, tutaj jednak nie zastaliśmy nic — na drugiem takiem miejscu spostrzegliśmy, na 70 do 80 kroków rogacza chodzącego za kozą, oblizującego się, nareszcie przystąpił ad rem Wtem odzywa się ten pan do mnie: „Ich werde den Bock von der Geis herunterschiessen". Strzał padł, zamiast rogacza leży koza. Rogacz odskoczył i ogląda się, co się stało. Tak to tego pana zirytowało, że się prosto do domu zabrał i odjechał.

Znowu inny z tych panów przywiózł sobie podczas rui wabika, by rogacza ubić za pomocą wabika, ile razy jednak zawabił, a rogacz był nie daleko, to odskoczył pobekując głośno, bo oczywiście nie naśladował dobrze głosu sarny. Ja stroiłem zawsze wabik w lesie według głosu sarny i na mój wabik odstrzelił sześć rogaczy — trzy odskczyły, czy dla tego, że nas zoczyły, lub zwietrzyły. Jeden rogacz, gdzie byliśmy schowani w rowie na otwartym zrębie, bardzo rzadko koniczyną porośniętym, tak szalenie na nas natarł, że omal na myśliwego nie skoczył. „Das ist ein frecher Kerl", zawołał myśliwy ucieszony.

Mógłbym więcej różnych przykładów przytoczyć, ale mogłoby to czytelnika może znużyć, nadmieniam więc tylko na końcu, że do roku 1888 tak się stan sarn podniósł, iż się musiano o kulturę lasową obawiać. Na zrębach wszystkie sadzonki, tak sosnowe jak dębowe, były doszczętnie ścięte. W roku 1889 lub też 1890 poczęła się srożyć motylica pomiędzy sarnami i wtedy tak je zdziesiątkowało, że może 30% zostało. Smutny to był widok dla myśliwego, gdy gdziebądź pod krzakiem spotykało się konającą sarnę — ale widząc te ogromne szkody, które one w kulturach wyrządziły, serce leśnika wzięło górę, tem bardziej, że leśnik wie, że zasada: „gdy będzie las, będą i sarny", jest nieomylną.

Korespondencye.

Sokołów, 2. grudnia 1902.

Widziałem już psy legawe, wystawiające rozliczne stworzenia Boże, naprzykład skowronka, mysz nawet, a niedawno widziałem legawca, który w miejsce bażanta wystawił indyka, siedzącego w trawie — ale żeby pies legawy stanął do żbika i to siedzącego na drzewie, to zapewne rzadziej się trafia.

Mam psa legawego z łaski p. Sołowija, który mi go szczenięciem darował, grifona, niezmiernie inteligentnego, a ponieważ jest w pierwszym roku, chodzi z nim i układa go mój strzelec, Michał. Ten pies już w tym roku dawał dowody niezmiernie łatwego pojęcia, (jest już prawie zupełnie „hasenrein“ i rozmaitych własnych kombinacyi i sztuczek, świadczących o wielkiej oryginalności i bystrości umysłu.

Strzelcowi poleciłem teraz strzelać kaczki, nie na kuchnię, bo jako dobry myśliwy zwierzyny z małymi wyjątkami nie jadam, ale ponieważ często się trafia o tej porze zabić jakiś niezwykły egzemplarz, wart wypchania.

Poszedł przeto mój strzelec 29-go listopada, za dnia, na oparzeliska, położone pod lasem zwanym Maślanką — a muszę tu wspomnieć, że był to dzień bardzo mglisty a zatem poranek tem ciemniejszy — na jednem z tych oparzelisk nie zastał kaczek, ale puścił w nadbrzeżny szuwar psa legawego — czy nie ruszy lisa, lub jakiego innego szkodnika. Pies zaczął szukać i poszedł za jakimś tropem — było to na czarnej stopie — do przylegającego lasu — tam głównie przy starej rozłożystej lipie wietrzył coś — odchodził, to wracał — nareszcie stanął pod lipą w ten sposób, że z wzniesioną głową do góry robił wrażenie, jakby oczami na coś wskazywał. Strzelec obszedł lipę dokoła, skonstatował, że dziupła nie ma, oglądnął drzewo dokładnie z wszystkich stron i nie mogąc nic spostrzedz, odszedł odwołując psa za sobą — pies jednak zwykle na skinienie posłuszny, stał dalej jak wryty na miejscu, ciągle wpatrzony w drzewo — zdziwiło, to mojego strzelca, powrócił napowrót, zaczął znów dokładnie oglądać lipę i dopiero wówczas spostrzegł między konarami przytulonego do drzewa żbika, którego na tem szarem tle i w tak ciemnym ranku ledwie spostrzedz było można. Strzelił i spadł żbik, ogromna stara samica.

Ktoby był niewiernym Tomaszem, niech się pofatyguje na ulicę Staszica Nr. 3 do p. Edmunda Hartla i prosi go o pokazanie do wypchania przysłanego żbika, a równocześnie może widzieć i drugiego, którego tego roku, na polowaniu słonczem ubito, a ktoby chciał wiedzieć, jak się bohater niniejszej nowelki nazywa - to mu powiem, że nazywa się pan Prim i że jest niezawodnie mądrzejszy od niejednego profesora, a przynajmniej od wszystkich tych, którzy mnie uczyli.

Stanisław Małkowski.

W gronie naszem znajduje się także wielu lekarzy. Do tych panów odnoszę się z prośbą o wytłumaczenie powodów niezwykłej choroby, jaką u zwierzyny, w naszych stronach skonstatowałem. Jak wiadomo, ginie w lecie, osobliwie zaś w jesieni bardzo mało zwierzyny. Co źle wyszło ze zimy i z pojawieniem się zielonej paszy nabawiło się biegunki, ginie najpóźniej do końca czerwca — lub się przechorowuje. Już w sierpniu, bardzo wyjątkowo widzi się chore sztuki z wyjątkiem chyba „oestrus nasalis“. Mam tu na myśli przeważnie sarny, gdyż choroby zajęcze nie wpadają tak łatwo w oko — i zające w ogóle mają odpowiedniejszy organizm.

Otóż od sierpnia począwszy do listopada, znachodziła nasza straż leśna padłe sarny i zające. Sztuki padłe nie były wcale wychudzone, owszem wyglądały bardzo dobrze i na zewnątrz nie zdradzały niczem choroby. Chcąc się dowodnie przekonać o powodach śmierci, sekcyonowałem każdą znalezioną padłą sarnę i zające, a dodać muszę, że przynoszono mi sztuki stare i młode, rogacze i siuty — wszystkie doskonale odżywione. Sekcya wykazywała bez wyjątku szparę w sercu, jakby ranę od noża, tuż pod aortą. O ile wiem, pęknięcie aorty zdarzyć się może przy chorobliwem zwapnieniu żył i to najczęściej u osobników starych — a zresztą pękniecie aorty nie może przecież mieć charakteru epidemii. A że inne organa wewnętrzne badanych sztuk, o ile ja to poznać mogłem, nie zdradzały żadnych zmian patologicznych — więc staję tu wobec zagadki, której nie umiem rozwiązać. O motylicy nie może być mowy, raz dla tego, że chorobę tę łatwo rozpoznać bez sekcyi i bez badania wątroby — po samym zewnętrznym wyglądzie — powtóre, zwierzyna chora na motylicę nie ginie w jesieni. Jest to więc jakaś zagadkowa choroba, z którą dotychczas się nie spotykałem i o której nigdy nie słyszałem.

Chodząc po lesie zauważyłem kilkakrotnie, że pomykające przedemną zające wyglądały jakby sparaliżowane. Nie zwracałem na to zbytecznie uwagi — sądziłem, że mi się to tylko tak wydaje, że ten i ów zając jakoś dziwnie ucieka. Mając młodego wyżła, brałem go zawsze ze sobą do lasu, aby go przyzwyczaić do widoku zajęcy, aby za nimi nie gonił, więc mi się zdawało, że owe rzekomo chore zające wykradają się przed psem — stąd owe dziwne ruchy. Dopiero później przyszedłem do przekonania, że to jednak musiały być chore zające. Jeden z naszych leśniczych bowiem złapał w swoim rewirze zająca, o którym sądził, że ma przekręcone krzyże. Trzymał go w pokoju dwa dni — zastrzykiwał nawet morfiną — a gdy zając zginął — przysłał go do mnie do sekcyonowania. Otóż pokazało się, że i ów zając miał pęknięte serce. Sąsiad nasz p. Sołowij — gdym mu o tem opowiadał, zauważył, że i jego myśliwska straż twierdzi, iż spotyka zające, nie mogące dobrze uciekać. Mamy więc do czynienia z chorobą, która wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, nie tylko na naszych terytoryach wystąpiła.

Zważywszy, że zwykle tylko małą część padłej zwierzyny się odnajduje, a większość ginie w gąszczach, o czem się nawet nie wie, mam to uczucie, że znaczna ilość zwierzyny musiała nam wyginąć na tę zagadkową chorobę, tem więcej, że jak mię doświadczenie moje pouczyło — ma się zawsze z poważną katastrofą do

czynienia, jeśli się choćby nie wiele padłych zajęcy znachodzi. Sarny giną wszędzie na wiosnę — gdzie ich jest wiele. Jestto dość pospolity objaw i nie koniecznie musi być motylica tego powodem. W Galicyi, gdzie ustawa zabrania strzelania kóz i cieląt, gdzie więc niemożliwą jest regulacya zwierzostanu strzelbą, przez odstrzelenie słabych sztuk przed zimą, lub z początkiem zimy, musi być dużo sztuk słabych — potomstwa rogaczy za młodych lub zbyt wysilonych. Wszakże strzelamy li tylko rogacze i to najsilniejsze, nie tylko w lecie, ale i w zimie. Nic dziwnego, że stosunek kóz do rogaczy, staje się anormalny i szpiczaki obejmują z konieczności rolę rogaczy starszych, ze szkodą dla siebie samych i dla zwierzostanu. Te słabe sztuki nie mogą przetrwać zimy i giną zwykle ku końcowi zimy i na wiosnę — nic tu nie pomoże najobfitsze żywienie. Ze zającami rzecz się ma przeciwnie, zwykle gachów jest więcej, niż samic. Jeżeli więc giną zające, to wówczas ma się z jakąś epidemią do czynienia i wtedy klęska dotyka i sarny jednocześnie.

Miałem więc bardzo poważne powody do obawy o nasz zwierzostan. Żem się nie mylił, przekonały mię polowania w dwóch rewirach. W jednym padło zaledwie 34 zajęcy, a więc zaledwie ¼ część tego, na co miałem prawo liczyć — w drugim 120 zajęcy, a więc połowa tego, coby w normalnych warunkach z pewnością znalazło się na rozkładzie. I sarn widziało się uderzająco mniej, niż zwykle. Z tego powodu polowania dalsze u nas zamknięte. Z ciekawością oczekuję rezultatów polowań u moich sąsiadów; prorokuję im, że ich knieje w tym roku grubo mniej im dadzą, niż w latach poprzednich.

Pola nasze nawozi się silnie nawozami sztucznymi. Na koniczu i na wyce, sianej na zielony nawóz, zaraz po sprzęcie zboża, przy zasileniu poprzedniem gleby tomasyną i kainitem — żeruje wszystka zwierzyna całymi dniami. Nawet w zimie mimo tryzub, pełnych doskonałego koniczu i owsa — sarny i zające dogrzebują się do żyta, na przeoranej wyce sianego i do grochu nie przeoranego. Czy nie jest to może powodem owej dziwnej choroby?

Nie rozumiem się na tem, więc nie wiem, czy i o ile może być pasza z gruntu, świeżo a obficie znawożonego kainitem i tomasyną, szkodliwą dla zwierzyny. Zdaje mi się jednak, że wiele za tem przemawia, iż tak jest w istocie, gdyż właśnie najwięcej sarn padłych znaleziono w lesie, bezpośrednio przytykającym do owego pola, które obsiano wyką na kainicie i tomasynie.

Kończąc dodaję nawiasem, że znalazło się u nas na rozkładzie 5 lisów. Nie myliłem się więc twierdząc, że lis wytępić się nie da. Obecnie na śniegu, nie widzę więcej na całem naszem terytoryum zwyż 12.000 morgów wynoszącem — jak jeden jedyny trop lisa — to jest, skontatowałem, że tylko jeden lis się kręci — mimo to, jestem pewny — że od wiosny przyszłej do jesieni, znów ze 30 lisów złapią na żelaza.

Kazimierz Remiszewski
delegat rawski.

Z Księstwa Poznańskiego.

W dniu 28-go listopada b. r. polowano w dwanaście strzelb, u p. Alfreda Chłapowskiego i zabito 1506 zajęcy, 11 kuropatw, 4 bażanty, 1 cietrzewia i 1 jastrzębia. Do rozkładu tego nie wliczono kilkudziesięciu zajęcy, znalezionych dnia następnego. Król polowania, hr. J. Bniński, ubił 184 zajęcy i 2 kuropatwy. Opolowano w kotłach mniej więcej 700 morgów magd. (około 3.500 naszych). Rekord to niebywały, a wynik tak świetny zasługą jest młodego gospodarza, który z zapałem i znajomością łowiectwa nie szczędzi kosztów, ani trudów, na podniesienie zwierzostanu w rozległych swych dobrach.

Dnia 11-go b. m. przy prześlicznej pogodzie, lecz 15° stopniowym mrozie, polowaliśmy w 8 strzelb w Hermanowicach, w Przemyskiem.

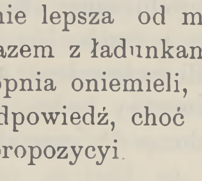
Gospodarz, p. Jan Rakowski, światowy podróżnik, któremu również dobrze znane piaski Sahary, jak śniegi najodleglejszej Syberyi, w sile wieku, choć ósmy zaczął krzyżyk, z krewkością młodzieńczą sam kierował polowaniem. Na stanowiskach myśliwych rozstawiał, a sam stając na flankach, celnymi strzałami kładł biedne szaraki. Po czterogodzinnem polowaniu, rzec można biesiadzie łowieckiej, ułożono rozkład z 38 zajęcy i 3 rogaczy.

Niżej podpisany, dzieląc berło królewskie z podpułkownikiem p. M., gdyż obaj po 10 zajęcy zabiliśmy, niniejszem składam we wspólnem imieniu pp. Rakowskim najserdeczniejsze podziękowanie za ten mile spędzony dzień w Hermanowicach.

Władysław Wiktor
delegat sanocki.

Kamionka, w grudniu 1902.

Zdarzenie myśliwskie, opisane przez p. S. M. w ostatnim numerze „*Łowca*“ — przypomniało mi wypadek z ostatniego dziesiątka lat, w wschodnim powiecie kraju. Na polowanie z nagonką przybyli pp. X. i Y., p. X. uzbrojony w kapzlówkę starego autoramentu, p. Y. z odtylcówką nowego systemu. Podczas brania jednego miotu pada celny strzał, p. X. druzgoce nogę w kolanie p. Y. Na krzyk i jęki zranionego, zbiega się cała drużyna myśliwska. Wszyscy przerażeni smutnym wypadkiem! Naprędce robią p. Y. opatrunek, układają na sanie, inne sanie rozbiegają się za lekarzami. Nagle, w chwili odjazdu p. Y., zbliża się do niego p. X. i z zupełną swobodą robi następującą propozycyę: „Kochany panie, pan już dzisiaj nie będzie polował. Pana lankastrówka znacznie lepsza od mojej kapzlówki, proszę mi ją zostawić razem z ładunkami!“ Na takie dictum, wszyscy do tego stopnia oniemieli, że nikt nie znalazł się, by dać p. X. odpowiedź, choć w części równającą się jego wstrętnej propozycyi. *S.*



Trojan-Zielona, grudzień 1902.

Małpa w miocie! Proszę Panów nie śmiać się, tak nam zapowiedział p. J. w Pużnikach, gdyśmy w kilka strzelb, dnia 13. listopada b. r. polowali u niego. Po drugim miocie szan. gospodarz, gdyśmy zajmowali stanowiska trzeciego, mówi: „Proszę uważać, w tym miocie spodziewany nadzwyczajny zwierz. u nas niebywały! (tak w lesie jak w towarzystwie) małpa! prawdziwa małpa!“ Naturalnie wszyscy w śmiech. „Kochany sąsiad na fundusz nas bierze!“ Nakoniec przekonani wymownemi słowami gospodarza, którego poparł leśny, a nawet „Kiryło“ pobereżnik, zaręczając że „je maufa, jak sim rokiw detyna“ uwierzyliśmy. Debata, co z tą małpą zrobić, jak wyjdzie na strzelców? Jedni radzą zabić, drudzy nie; konkluzya: darować życie. Naprężona uwaga, słuch, wzrok, przez cały miot! Nagonka dochodzi, jeden drugiego zdaleka pyta, a co? widziałeś? Rozczarowanie — irytujemy się na gospodarza, że z nas niemiłosiernie zakpił, podmówił służbę leśną i t. d. „Ależ czekajcie, chodźcie i zobaczcie niewierni, że małpa jest w lesie, a że nie wyszła na myśliwych, nie moja wina; chodźcie, pokażę wam jej mieszkanie“. Wprowadza nas gospodarz w miot, gdzie po chwili znachodzimy się przed szałasem, budką, zbudowaną z gałęzi, wysoką na 60—80 cm., długości $1^1/_2$ m., szerokości 1 m. Nie ulega wątpliwości, że nie człowiek taką budkę wybudował — nie znane też zwierzę u nas, by podobne mieszkania miało — obserwowaliśmy gałęzie, jedne łamane, drugie obgryzione, a inne z korzeniem wyrwane. Wszystko to dość misternie ułożone i splecione, wewnątrz mchem i sianem wyłożone, dwa wchody, czyli dwa otwory do dostania się wewnątrz. Mówił pobereżnik, że przed tygodniem były trzy otwory; jeden świeżo założony. Dowód, że szałas zamieszkały, były zupełnie świeżo nałożone, pougryzane i nałamane gałęzie.

Jakiemuś kataryniarzowi lub może z wędrownej menażeryi prawdopodobnie uciekła małpa, która obrała sobie za mieszkanie sąsiedni rewir Pużnik, „Torskie“. Nie podobało się jej jednak tam, gdyż wypatrzyli ją pastuchy (w lipcu b. r.) i zbudowany przez nią szałas zburzyli jej, za co mszcząc się, jednego chłopaka dopadła, obiła i podrapała. Z „Torskiego“ przeniosła się do Pużnik, i tu ją „Kiryło“ zobaczył i wyśledził jej budę. Pomimo kilkakrotnych zasadzek nie przyszła do swego pomieszkania, może widząc lub wietrząc człowieka obok. Czy wytrzyma zbliżającą się zimę? niebawem się przekonamy, i nie omieszkam o losach małpy Redakcyi donieść.

Oglądnąwszy małpie pomieszkanie, winszując gospodarzowi nadzwyczajnej zwierzyny, żartując, w dobrych humorach, udaliśmy się dalej biorąc kilka miotów. Rezultat, jak na knieję pużnicką słaby, bo padły tylko 2 lisy, kozioł i 8 zajęcy, zważywszy jednak, że był bardzo ładny dzień, zając w polu, sarny „flankowały“, a przytem tylko 5 strzelb, gdzie potrzeba do obstawienia miotów 12 do 15, wszyscy byli zadowoleni, a obiecując sobie, że więcej na śniegu zwierzyny będzie, wróciliśmy w humorach do gościnnego domu P. gospodarstwa. *W. S.*

Trojan-Zielona, w grudniu 1902.

Zwracam uwagę Towarzyszów w św. Hubercie, którzy trują myszy zatrutą pszenicą, na szkodliwość rzucania jej w bliskości pobytu kuropatw. Może być, że się mylę, ale 29 listopada przyniósł mi polowy kuropatwę nieżywą, znalezioną na łanie, gdzie trułem myszy; podejrzywam, czy nie struła się strychniną zatrutą pszenicą. Wyjeżdżając z domu nie miałem czasu zrobić sekcyi kuropatwy. *W. S.*

Trojan-Zielona, d. 18. grudnia 1902.

Piszę pod wrażeniem odbytego polowania u p. Kazimierza Przybysławskiego w Uniżu i Woziłowie.

Knieja Unizka była i jest zaliczaną do najpiękniejszych. Nie będę jej opisywać, gdyż niektórzy Towarzysze św. Huberta znają ją osobiście, inni z „Łowca“. Nietylko stan zwierzyny bardzo piękny, ale też położenie kniei, na ściankach dniestrowych, dodaje swymi widokami uroku myśliwemu, który nie wie, co podziwiać, czy zwierzynę, rojącą się w miocie i widzianą z daleka na trzecim lub czwartym „chomie“, nadsłuchującą nagonkę lub w zupełnym spokoju żerującą, czy przepyszne widoki naddniestrzańskie.

Rezultat: w Uniżu: dzik, 6 kozłów, 2 lisy i 15 zajęcy; w Woziłowie w dwu miotach: 2 dziki i 3 zające.

W Woziłowie dziki pomimo hałasu nagonki, nie chciały wyjść z miotu, powtórzono go, puściwszy w tropy dzika, psa „Blitza“, znanego z swego niefortunnego pierwszego występu w Uniżu w r. 1898 i ilustracyi jego w „Łowcu“. Dobrze się sprawił „Blitz“, gdy wyszły dziki na myśliwych, jednego postrzelonego przez gospodarza p. K. P. przytrzymał tak, że dzika dobito pod psem. Zważywszy, że polowanie odbyło się tylko w 3 strzelby i że nie strzelano do wszystkiej zwierzyny, gdyż w każdym miocie były spodziewane dziki, rezultat bardzo dobry, co zasługą gospodarza, który od tylu lat stan zwierzyny usilnie pielęgnuje, z pomyślnym skutkiem. Przedewszystkiem ilość sarn jest zdumiewającą; były mioty, w których widziano po dwadzieścia kilka sztuk.

W. S.

Mielowce, d. 25. listopada 1902.

W sobotę dnia 22. listopada b. r. polowaliśmy w sześć strzelb w Lisowcach, gdzie stan zajęcy wcale ładny. Ponieważ dzień był śliczny, to też zające więcej trzymały się w polu, aniżeli w lesie, cośmy w ostatnim miocie polnym skonstatowali, w roli gładkiej bowiem około 100 morgowej wyszło 10 zajęcy, całkiem niespodziewanych. W lesie zaś wypędziła nagonka dwie słonki, z których jedna nademną przeleciała całkiem nie strzelana, gdyż wierzyć nie mogłem, by 22 listopada, po 14^0 mrozach, zjawiła się słonka, to też zdumiałem i nie mogłem jej zgładzić. W ogóle padło 30 zajęcy, 3 lisy i koziołek. Za przyjemne chwile, spędzone w Lisowcach, gospodarzom najserdeczniejsze podziękowanie.

Ksawery Oedenberg Geringer.

R o ż n i a t ó w, d. 17. grudnia 1902.

Dnia 10. grudnia b. r. odbyło się polowanie w Mikulicach, u p. Jerzego Turnaua. W 12 strzelb padło 48 zajęcy a mogło paść więcej, gdyby w jednym miocie lepiej strzelali a w drugim gdyby było trochę jaśniej, bo faktycznie można było dojrzeć cośkolwiek tylko przy świetle płomienia, przy strzale.

Przekonaliśmy się na tem polowaniu, że gdzie gospodarstwo ładne, tam i zwierzyna lubi się trzymać a jest to całkiem naturalne, bo zielone nawozy, lepsze niż w najbliższej okolicy oziminy, muszą ściągać do siebie kopyry, które w tak ciężką zimę, mając do dyspozycyi własnej tylko te wątłe piórka oziminy, skazane są na zupełną zagładę.

Prawdziwej roskoszy myśliwskiej użyliśmy na polowaniu w Zalesiu, dnia 15. b. m. Czas cudowny, kilkustopniowy mróz bez wiatru, dzień jasny, śnieg skrzy się w złotych słońca promieniach miliardami brylantów a dodaj do tego po kilkadziesiąt zajęcy i kilka stad kuropatw w każdym kociołku, a w niektórych i rudle sarn, to będziesz miał, szanowny czytelniku, słaby obraz polowania w Zalesiu. Polowaliśmy od godz. 9 do pół do 4 popołudniu, odtrąciwszy godzinę na śniadanie pozostanie ledwo 5 godzin na samo polowanie, a pomimo tego padł rogacz i 113 zajęcy w 13 strzelb. Na drugi dzień posłano jeszcze szukać postrzałków i z pewnością, jak zwykle na takich polowaniach się zdarza, przynieśli kilka, tak że do okrągłej cyfry 120 doprowadzili. O strzałach niema co i pisać, bo te chybą sam św. Hubert zrachować potrafił i sekretarzowi swemu w annałach niebieskich zaintabulować polecił. Polowanie prowadził świetnie młody gospodarz i *obstupuerunt omnes* nad jego, w tak młodym wieku, wprawą. Po polowaniu, serdeczne staropolskie przyjęcie u znanej z gościnności, p. Gumińskiej, uzupełniło resztę tego tak przyjemnie spędzonego dnia i pozostawiło na długi czas niezatarte wspomnienia piętnastego grudnia i ciche życzenie w sercu, żeby się na te gody jeszcze kiedy dostać. *A. Łastowiecki.*

T o u s t o ł u g, 14. grudnia 1902.

Nie mogę się rozpisywać o gościnnem przyjęciu, przemiłej swobodzie, małej kniei i przewybornym starym miodzie, bo mógłby mnie ktoś posądzić o wymianę komplementów (patrz korespondencyę w jednym z ostatnich numerów „Łowca"), lecz muszę się ograniczyć tylko na notatce kronikarskiej, że w dniu 12. grudnia polowaliśmy u — przez nas wszystkich ukochanego — Br. Rozwadowskiego w Turówce. Dzień mroźny, jasny, sześciu towarzyszy, każdy ze strzelbą, lecz dobrze „nastawić potrzeba lufę", by podnieść zwierzynę. Czasem trafia się to, czasem i co innego, to też na strzałów bardzo wiele, padło zbyt mało zwierzyny: 4 rogacze 1 lis i 24 zajęcy.

Oj! te zające! Ile to razy strzelić potrzeba, by za bić jednego — choć w rękach się trzyma strzelbę systemu Hammerless, lufy Kruppa, patentu Sauera! *Z. Mochnacki.*

B a t i a t y c z e, 20. grudnia 1902.

Świątki — więc starym zwyczajem zapolowaliśmy w 6 strzelb, z sąsiadami, w majątku p. Aleks. Papary. Czas sprzyjał, ponówka, wzięto 7 miotów. 101 strzałów padło, a na rozkładzie znalazło się 23 zajęcy i 1 rogacz.

Dzierżawię trzy duże gminy sąsiedniej wsi — co to za praca, koszt i ile różnych nieprzyjemności, by choć w części ochronić zwierzynę od wymordowania, obecnie szczególniej kuropatwy. Przy bardzo słabych oziminach tegorocznych, wszystko podczas mrozów i zadymek ciśnie się do gumien i ogrodów, a złodzieje i chłopstwo mordują bez litości. Najlepszem jest jeszcze stawianie budek z gałęzi na łanach dworskich, a obecnie przekonałem pp. sąsiadów, że przed jadącemi wolno saniami dwa duże stada kuropatw w oczach naszych truchcikiem przed końmi do budek wleciały i gdy o parę kroków przejeżdżaliśmy, koło nich siedziały spokojnie.

Przed kilku dniami, tropiąc z leśniczym złodziei, objechaliśmy rogacza. Strzelony ze sztućca rulował na miejscu — był to dość ładny myłkus, ale podwójny, miał bowiem uszy obcięte — skąd i jak doszedł do tego, *das wissen die Götter!*

Zwierzyna głodna w tym roku, zatem potrzebaby koniecznie karmić. Ja wożę po trochę koniczyny i owies w snopach i rozkładam po krzakach — zające formalne tokowisko ubijają koło snopków i trzymają się miejsca.

O większych polowaniach jakoś po dziś dzień cicho, prócz u hr. Andrzeja Potockiego w dobrach Kamioneckich, gdzie myślistwo wzorowo prowadzone przez delegata p. Drahanowskiego daje wspaniałe rezultaty, a o czem nam ledwie marzyć można. Jako przykład podam, że w rewirze Kupiczwoli, graniczącym z dzierżawionem przezemnie polowaniem w Deszowej, od sześciu dni co dnia polowanie w niecałych 600 morgach. Właściciel izraelita pozwala w s z y s t k i m — w s z y s t k o. To też wczoraj znaleziono z połamanemi nogami małą kozę, strzelaną siekańcami. „Wiek Nowy" podał opis tych polowań, a ja z całą przyjemnością mogę służyć całą falangą złodziei do ilustracyi. Ale stary rok się kończy, a z nim niech zginą wszystkie biedy — zatem „Dosich lat" przy opłatku, a dożyjmy lepszych czasów!

Tadeusz Romanowski
delegat żółkiewski.

Z K o ł o m y j s k i e g o, 22. grudnia 1902.

Było to z początkiem grudnia. Mróz siarczysty na dworze, gdy w tem zajeżdża do nas sąsiad p. R., zawołany myśliwy, (uprawia bowiem ten sport w każdym kierunku a charty dobre przyprowadził ze sobą z Wołynia, skąd się tu przesiedlił). Pogawędka przeciąga się do późnego zmroku, wtem wpada służący z oznajmieniem, że ekonom ma pilny interes. „Cóż takiego?" „Proszę, są dziki, poszły obok jam z kartoflami koło krzyża, a mówił mi to parobczak, który wracał tamtędy z roboty z sąsiedniej wsi". Doświadczenia w tym kierunku zrobiły mnie pessymistą i przyjąłem tę wiadomość z zastrzeżeniem, że jeśli są, to już poszły dalej, bo u nas stale się nie trzymają. Kazałem wziąć kilku ludzi z rydlami i pojechać tam rozryte jamy ponaprawiać, aby kartofla nie przemarzła. Sąsiad p. R. słysząc taką dyspozycyę, jedzie także — naturalnie ze

strzelbą — ja zaś zostałem. W pół godziny wpada służący z oznajmieniem, że p. R. wrócił i trzy dziki leżą w kredensie. Tym razem pessymizm mój grubo mię zawiódł, gdyż p. R. i ekonom najechali na stadko z 7 sztuk, w którem było 5 wycinków i zdaje się rodzice z nimi, nie dalej jak na 15 kroków, a obstawili tak zręcznie całe stadko ludźmi, że dali do nich 12 strzałów i 3 wycinki padły na miejscu, a 2 stare sztuki, mocno farbując, uszły do pobliskiego lasu — bośmy nazajutrz rano tropili za niemi — dwie wreszcie rzuciły się w bok i uszły niestrzelane.

Na drugi dzień śnieg leżał równo, jak na ponowie a pole dla chartów doskonałe, jedziemy więc w dwie pary sań i z czterema chartami na lisa. Teren lekko falisty, przeglądam szkłami każdy podejrzany punkt i dopatruję pod miedzą pana mykitę, w kłębuszek zwiniętego a wyglądającego jak żółta grudka. Rozjeżdżamy się i bierzemy go w dwa ognie i na jakie 300 kroków od moich sań puszczam smycz moją i „hecz go ha!“ za nim. Pan mykita niezbity z tropu wali prosto na sanie mego sąsiada, który tymczasem swoją smycz puszcza i widzimy, że ani myśleć, aby nam uszedł. W momencie, kiedy smycz moja już prawie na kicie mykity, tenże naraz jakby pod ziemię się zapadł, znika nam z oczu, a charty stają na miejscu, jak wryte. Podjeżdzamy na to miejsce i tu pokazuje się jama wypadkowa na równem polu, jak na stole. Wykurzyć — ani mowy. Przypominam sobie starą jamniczkę „mrówkę“, która nie jedno już pokolenie wychowała i gdzieś tam w piekarni na piecu przez zimę się wygrzewa; posyłamy więc po „mrówkę“, która po wielkich prośbach raczyła wleść do jamy i zaczęła naszczekiwać. Nie trwało nawet 10 minut, gdy tą samą jamą wysunął się lisiura kitą naprzód i w pole... Nie potrzebuję i mówić o tem, że po jednym obrocie był pan mykita na saniach.

Mamy kniejkę nie dużą — więc trzebaby spróbować. Wybraliśmy się przygodnie w 3 strzelby, w samo południe i polowaliśmy trzy godziny. Na rozkładzie były 4 kozły, 2 lisy i 6 zajęcy, (trzeci myśliwy dał kilka strzałów bez skutku). W ogóle stan zwierzyny zadowalający, ale byłby bardzo dobry, gdybyśmy nie mieli kłusowników ze wszystkich stron, a także drapieżnego ptactwa i zwierząt, które wyrządzają wielkie szkody. Kuropatw n. p. mamy zwykle w jesieni 6 do 7 stadek, po 12 do 16 sztuk w każdem; przez zimę zmaleje tak, że na wiosnę zostaną zaledwie trzy stadka a w każdem najwyżej po 5 sztuk. Przy silnych mrozach, na początku grudnia nocowało zawsze po kilkanaście sztuk, na oborach koło stajen, na folwarku. *Józef Zerygiewicz.*

Gologóry, 23. grudnia 1902.

W dniu 12. grudnia b. r. odbyło się polowanie w Majdanie lipowieckim, w rewirze Zakamienna zwanym, w 14 strzelb.

Właścicielem polowania jest Towarzystwo łowieckie przemyślańskie, którego prezesem jest p. Józef Grand, dyrektor lasów JE. hr. Romana Potockiego, a gospodarzem p. Roman Wiśniewski z Ciemierzyniec. Na rozkładzie były 2 rogacze i 36 zajęcy. Biorąc na uwagę, że przed kilku laty, zanim Towarzystwo wydzierżawiało wyżej wymienione terytoryum, zwierzyny tu prawie nie było, to wynik obecny uważać należy za bardzo pomyślny. Dodaję, iż w dniu polowania była taka okiść, że pogonka nie mogła należycie iść, a wskutek tego przeważna ilość zwierzyny t. j. dużo sarn i zajęcy wróciło na pogonkę.

Uznanie należy się całemu towarzystwu, za wstrzemięźliwość, jakiej daje dowody, polując raz tylko w sezonie na wyżej wymienionem terytoryum, bo w ten sposób tylko daje możność rozmnożenia się zwierzynie, ale lwią część tej zasługi przyznać trzeba zarządowi i świetnemu c. k. Starostwu w Przemyślanach za opiekę, jaką otacza polowanie wynajęte.

Pomimo, jak już nadmieniłem, okiści, pogonka prowadzoną była możebnie dobrze, a znajomość terenu dała możność gospodarzowi do rozstawiania umiejętnego myśliwych, za co uznanie mu się należy. Dziękując wszystkim członkom Towarzystwa za chwile, mile spędzone i za rozrywkę, jakiej doznałem — na przyszłość polecam się pamięci.

Tadeusz Dzięciołowski
delegat okręgu złoczowskiego.



Kamionka, grudzień 1902.

Pochlebna wzmianka, jaką p. Kesselring o rodzie mym i mych dzieciach w przedostatnim „Łowcu“ umieścił, ośmiela mnie do przesłania słów paru od siebie i o sobie. Czuję, że robię wyłom w dotychczasowych zwyczajach Szan. Redakcyi, gdzie dotąd ród psi miał szpalty zamknięte. Lecz gdy chodzi o dobro naszego łowiectwa, niechaj i psu wolno będzie przemówić.

Zdala od granic Galicyi, na północy państwa niemieckiego, w marcu 1899 r. ujrzałam światło dzienne. Urodziłam się w Kehl, w domu p. Oberländera, (Rehfuss), znanego myśliwego, tresera a znakomitego autora dzieła o naszym rodzie i zasadach psiego wychowania.

Przez 6 miesięcy pobytu tam, patrzyłam na wychowanie mych krewnych i powinowatych. I dzisiaj, gdy wspomnę te tortury, jakie biedne te psy przechodziły, sierć mi się jeży! Te straszne korale i bykowiec, to piekielny wymysł, a jednak każdej chwili gotowam warować przed nadzwyczajną bystrością, z jaką p. Oberländer nasz ród, jego sposób myślenia a nawet naszą gwarę podpatrzył. Kto nie wierzy, niech przeczyta dzieło Oberländera.

Nazwisko nasze rodowe „*von Schackendorf*“ a przydomek „*deutscher kurzhaariger Gebrauchs-Hund*“. Więc główna zewnętrzna cecha naszej familii: włos gruby, krótki, maść szaro-brunatna. Czem ród nasz był i jest w mym rodzinnym kraju, świadczy najlepiej cały szereg odznaczeń, jakie przodkowie moi na rozmaitych wystawach zdobyli, a przedewszystkiem ogromne rozpowszechnienie naszych przedstawicieli, dla wszelakich celów myśliwskich. Skończywszy sześć miesięcy, znalazłam się po 4-dniowej podróży w obecnej mej ojczyźnie. Pół roku przeszło mi tutaj nadzwyczaj przyjemnie, wśród ciągłej swobody. Wszystko mi wolno było, nawet gonić za każdym zającem, choć mój pan udawał tylko, że tego nie